

Kazimierza Burcharda wakacje pod żaglami (2)

Sierpień 2001 roku

Ratunek na wodzie

Para łabędzi okupująca nabrzeże PTTK, rozmnożyła się w tym roku ledwie dwójką młodych. Łabędzie są na Bachotku popularne i wczasowicze karmią je bez umiaru, a przy okazji stado kaczek wszelkiej maści. Wspomniana para nie oddalała się zbyt od PTTK i nocowała (razem ze mną) w zatoce na zachodnim brzegu. Nawzajem sobie nie przeszkadzaaliśmy.

Tego dnia o wczesnej godzinie, zauważyłem tę czwórkę nieopodal łódki; stare i jeden junior odprawiły „toaletę”, drugi tkwił przy brzegu, widocznie jeszcze spał. Po śniadaniu i porządkach na pokładzie, zszedłem z cumy i bez pośpiechu popłynąłem w kierunku kanału. Trójka ruszyła również, ale jakoś dziwnie. Cyrklowała jakby w oczekiwaniu,

że ją ominę, a mały przy brzegu nadal był nieruchomy. Spozstrzegłem, że z dzioba coś mu zwisa, siedzi na wodzie dziwnie skurczony. Lornetka!

Małemu zwisał z dzioba wędkarski szałwik. Chyba połknął go z kawałem żyłki?... Nie inaczej. Ale... Czemu nie płynie jak tamta trójka?... Przywiązany do brzegu? Poza szałwikiem nic nie było widać. Ostrożnie powiosłowałem w jego kierunku. Stare i mały odsunęły się cokolwiek, a ten ze szałwikiem nic. Stare syczały ostrzegawczo i wydawały jakieś beklliwe dźwięki. No cóż? Chyba na głowę mi nie wskoczą... Lepiej sprawdzę, co jest temu nieruchomemu i podpłynąłem na odle-

głość bosaka. Wtedy zaczął robić jakieś nieskoordynowane ruchy. Gdy wyciągał szyję, przewracał się na plecy i straszliwie szamotał z głową pod wodą. Sprawa jasna – uwikłany był w żyłkę. Bardzo chciałem mu pomóc, tylko jak? Na każdy ruch w jego kierunku rzucał się w popłochu i - bez wątpienia - cierpiał. Stare z młodym zamierzały odpłynąć, lecz na moje ruchy wracały i syczały. W tym czasie ten oplątany, kotłował się i w końcu wcisnął pod gałęzie nieopodal brzegu. Teraz mam go!

Zbliżyłem się burtą do ptaka. Mogłem go sięgnąć ręką. Nożyczki! Jak jest oplątany, dość będzie żyłkę poprzecinać. Jeszcze lornetka... Wszyscy diabli! Mało,

że uwikłany w żyłkę, to z dzioba wisi mu ten szałwik na haczyku. No co?... Dać spokój i zostawić go tak? Wybrać bosakiem na pokład? Tu nie było żartów, dwa stare miałbym natychmiast na plecach...

Ustawiłem łódkę, że odgradzała stare od zaplątanego. Nie widziały go. Teraz bosak... i ... bez gwałtownych ruchów... Juniora za szyję i... głowę pod wodę. Jest!... Trzymałem go lewą ręką za głowę i prawą odczepiłem haczyk od dzioba. Na szczęście nie był kotwiczką. Ptak szamotał się i ciskał, więc znów mu głowę pod wodę i szukałem żyłki. Ostrożnie by go nie skaleczyć, ciąłem w trzech miejscach. Był wolny.

Nie ukrywam, byłem tą operacją cokolwiek rozmiętany i... nie przypuszczałem, że łabędź jest taki ciepły... He, he! Udało się! Odpłynąłem trochę i patrzyłem, co będzie dalej. Stare z młodym przysunęły się do nieszczęśnika i bodaj zachęcały go do ruchu. Gdy mnie mijaly, rzuciłem im kawałki chleba. Jak poszkodowany zaczął jeść uznałem, że wydobrzał. Chleb się skończył i czwórka spłynęła. Sprawdziłem: prosto do PTTK.

Później, gdy tam cumowałem, familia chętnie zbliżała się do łódki. Młokosy jadły mi z ręki. Były niezwykle sympatyczne, lecz tak podobne do siebie, że nie odróżniałem, któremu udzieliłem pomocy.

Kazimierz Burchard